NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata. w Polsce: Kwart. bez odn. w miejscu 92.300·— Mk. z przes. 98.800·— Mk. Półrocznie 197.600·— Mk. Rocznie 395.200· — Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Ceny ogłoszeń: Od miejsca wiersza milimetrowego jednoszpaltowego na str. ostatniej Mp. 800., od miejsca wiersza milim. jednoszp. w części redakcyjnej Mp 2000.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

Konto P. K. O. Nr. 140.260. Konto Bank Związku Spółek Zarob. w Krakowie.
Redakcja otwarta dla stron od 10—12. Rękopisów i fotografji Redakcja nie zwraca

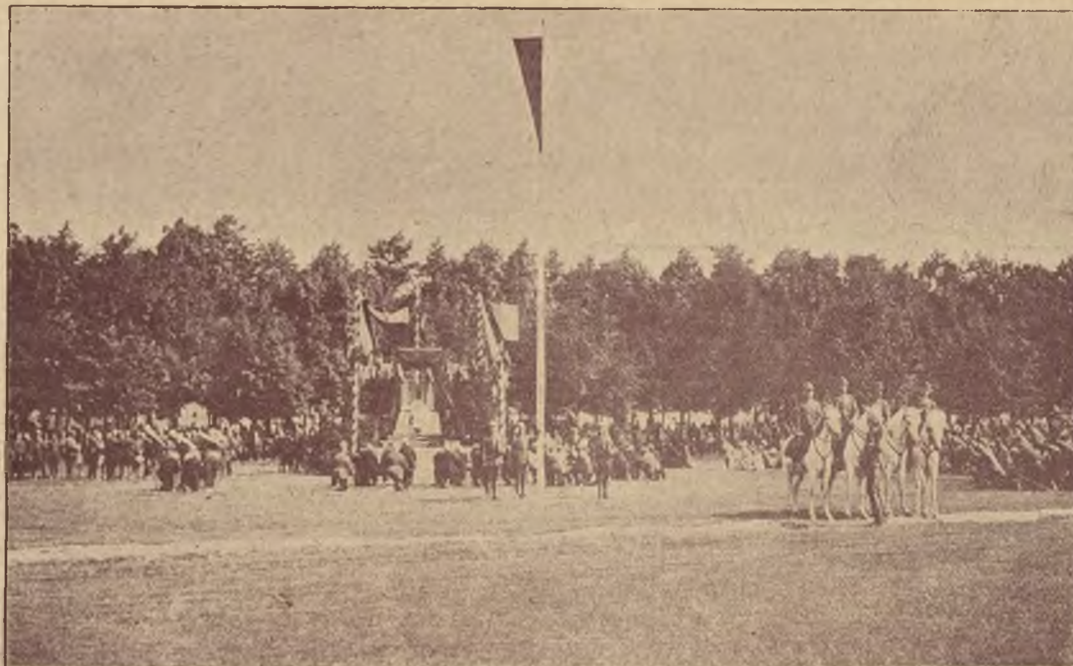
Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. **Numer pojedynczy 8000 Marek.**

Rok XX. Kraków, 1 września 1923. Nr. 35.

W trzecią rocznicę „Cudu nad Wisłą"



Uroczystości na Błoniach w Krakowie. Przemówienie kapelana generalnego ks Niezgody.



W trzeciąrocznicę „Cudu nad Wisłą": Msza polowa na Błoniach w Krakowie



W trzecią rocznicę Cudu nad Wisłą : Ołtarz polowy na Błoniach

W trzecią rocznicę „Cudu nad Wisłą".

Dzień 15 sierpnia pozostanie na zawsze chlubną kartą w dziejach naszego oręża. Odparcie nawały bolszewickiej, ów „Cud nad Wisłą", obchodzi uroczyście cała Polska, a zwłaszcza nasza dzielna armia. I w roku obecnym, w trzecią rocznicę zwycięstwa, odbyła się taka uroczystość wojskowa na Błoniach. Wykazała ona wielką sprawność żołnierza polskiego i jego doskonałe wyszkolenie. Paradzie przypatrywały się tłumy publiczności, która gorąco oklaskiwała naszych wojaków.

Zamieszczone w niniejszym numerze fotografie, przedstawiają niektóre momenty z uroczystości na Błoniach w dniu 15 sierpnia r. b.

Praca oświatowa w armii

Armia polska walczy skutecznie z groźnym wrogiem ludu — analfabetyzmem. Jest to zasługa oficerów, którzy pełnią także funkcye nauczycieli. By ułatwić im nauczanie żołnierzy utworzono kursa metodyczno-oświatowe.

Fotografie załączone przedstawiają frekwentantów 5-go i 6-go kursu, którzy go prawie wszyscy ukończyli z postępem celującym.

W egzaminie końcowym tego kursu brali udział wszyscy dowódcy.

Zgon wybitnego adwokata.

W Szczawnicy zmarł nagle na anewryzm serca znany w szerokich kołach naszego miasta adwokat, dr. Kazimierz Ostrowski. Zmarły, jeden z najzdolniejszych obrońców, dla swych niezwykłych zalet serca, cieszył się ogólną sympatyą. Nazwisko dra Ostrowskiego zapisało się trwałemi głoskami na liście adwokatów, występujących w głośnym procesie legionistów polskich w Marmarosz Sziget.

Zmarły osierocił żonę, Annę z Gramatyków, znaną artystkę - malarkę.

Zatrzymany zdrajca.

Metropolita ruski, Andrzej Szeptycki, po swych podróżach, w czasie których spiskował przeciw państwu polskiemu, postanowił wrócić do Lwowa. Niespodziewanie zajechał od strony Czech salonką do Dziedzic, gdzie jednakże władze go zatrzymały i nie puściły do Lwowa. Ostatecznie, Andrzeja Szeptyckiego przewieziono do Poznania i umieszczono tam w klasztorze.

Stanowisko rządu polskiego spotka się niewątpliwie z uznaniem całego społeczeństwa polskiego. Andrzej Szeptycki bowiem, potomek starej szlachty polskiej, zdradził swój naród i przy pomocy zaborcy pragnął zadać mu cios poważny,



W trzecią rocznicę „Cudu nad Wisłą": Delegacye w czasie Mszy polowej na Błoniach

niszcząc polskość w Galicyi wschodniej. On to, w zmowie z Wiedniem, knuł ciągłe plany podziału Galicyi i uczynienia z niej domeny wojującego ukrainizmu. Grecko-kat. metropolita lwowski był jednym z współtwórców duchowych traktatu brzeskiego i głównym motorem spisku przeciw powstającemu państwu polskiemu, spisku, który wywołał krwawe walki we Lwowie i nieszczęsną wojną między bratnimi narodami.

Pomimo swej szaty duchownej, pomimo kapłańskiego powołania, które nakazywało mu łagodzić przeciwieństwa między mieszkańcami jednej i tej samej ziemi — Andrzej Szeptycki rozniecał żagiew waśni narodowych, podburzał własnymi słowami i przy pomocy podwładnego mu kleru umysły chłopa ruskiego; w grecko-katolickich cerkwiach ostrzył hajdamackie noże. Potworny fakt, że w zabudowaniach świętojurskich mógł obradować kongres bolszewicki, pilnie strzeżony przez ruskich kanoników — to posiew działalności metropolity-hajdamaki, renegata i zaprzańca.

Z wycieczki dziennikarzy
na Kresy Zachodnie.

W jednym z poprzednich numerów pisaliśmy obszernie o wycieczce dziennikarzy na Kresy zachodnie. W dzisiejszym numerze podajemy dwa zdjęcia z Czornkowa, pięciotysięcznego miasteczka które jest ostatnią placówką polską na samej granicy państwa polskiego. Miasteczko to, położone nad Notecią, która w tem miejscu stanowi granicę, było przed wojną — jak się zdawało doszczętnie zniemczone. Dziś naloty niemieckie skruszyły się i odpadły, a Czarnków jest dziś twierdzą polskości na naszych Kresach zachodnich.



W trzecią rocznicę „Cudu nad Wisłą": Defilada 20 p. p. na Błoniach



Praca oświatowa w armii: Frekwentanci 6-go Kursu nauczycielskiego z jen. Czikelem w pośrodku.

W trzecią rocznicę śmierci.

Dnia 2 września r. b. upływa trzecia rocznica śmierci ś. p. pułk. Stanisława Krzaczyńskiego, szefa żandarmeryi polowej przy Nacz. Dowództwie, który 2 września 1920 r., podczas inspekcyi rezerwy żandarmeryi w forcie Kazuń pod Modlinem, zginął w nurtach Wisły. Wieść o Jego zgonie wzruszyła do głębi tych wszystkich, którzy Go znali jako dowódcę i jako człowieka.

Ś p. pułkownik Krzaczyński urodził się 15 kwietnia 1886 roku we wsi Kamienicy Polskiej, ziemi Piotrkowskiej. Po ukończeniu szkoły realnej w Krakowie, przeszedł tam kurs nauk politycznych, poczem wziął się z zapałem do pracy społecznej i niebawem już objął odpowiedzialne stanowisko dyrektora Ligi Pomocy Przemysłowej w Krakowie. Ale ta praca organiczna nie zaspakajała Jego duszy płomiennej, ogarniętej tęsknotą do wcielenia ideałów Polski Niepodległej. To też jednocześnie zapisuje się Krzaczyński na kursa Sokolich konnych drużyn w Krakowie i staje w szeregach I-ej Brygady. Dnia 30 września 1914 r. wyrusza już Krzaczyński z IV baonem 2 pułku Legjonów Polskich w charakterze adjutanta d-cy baonu kpt. Roji.

„Brałem udział — stwierdza sam w swej karcie ewidencyjnej — w wielu bitwach i potyczkach, jako d-ca 15 komp., którą objąłem po bitwie pod Mołotkowem, jako d-ca pół baonu i zastępczo, jako d-ca baonu oraz grupy (baon z półbaterją haubic). Dnia 16 lutego 1915 r., w ataku na przyczółek mostowy, po zajęciu miasta Sołotwiny, dowodząc półbaonem 2 p. p. L., oraz półkompanią bośniacko-hercogowińskiego p. p., zostałem bardzo ciężko ranny ogniem karabinu maszynowego. 10 miesięcy leżałem w szpitalach w Linzu, Wiedniu i Badenie. Po wyjściu ze szpitala, po chwilowej słżbie w Kadrze Grupy Leg. Pol., objąłem D-two Placu Leg. Pol. we Lwowie. Po 10-cio miesięcznej tam służbie zostałem przeniesiony do Krakowa, na takieżsamo stanowisko służbowe K-ta Placu. Na tem stanowisku służbowem przebyłem około roku, poczem zostałem telegraficznie przeniesiony do K-dy Leg. w Warszawie i przeznaczony na referenta oddziału „Polska Siła Zbrojna“ przy gen. gub. warszawskim. Na tem stanowisku odmówiłem złożenia przysięgi na braterstwo broni z Niemcami, skutkiem czego zostałem internowany w Benjaminowie.

Po wyjściu z obozu pracowałem w P. O. W. W czasie przewrotu objąłem k-mdę garnizonu P. O. W. i k-mdę części miasta Warszawy. Po uregulowaniu stosunków wojskowych i formalnem przyjęciu mnie do W. P. objąłem stanowisko K-mdta Placu i zarazem zastępcy Kmdta miasta. Rozkazem Naczelnego Dowództwa W. P. z dnia 7 kwietnia 1919 r. utworzono Gen. Eks. Żand. Pol, przemianowaną następnie na D-two Żandarmeryi Polowej, której szefem tenże rozkaz mnie mianował. Na stanowisku tem przeprowadziłem reorganizacyę Żandarmeryi Polowej na wszystkich frontach i terenach etapowych Ziem Wschodnich.“

Tyle głosi karta ewidencyjna ś. p. pułkownika Krzaczyńskiego. A my dodamy, że to Jego duch przyczynił się do tego, iż plutony żandarmeryi

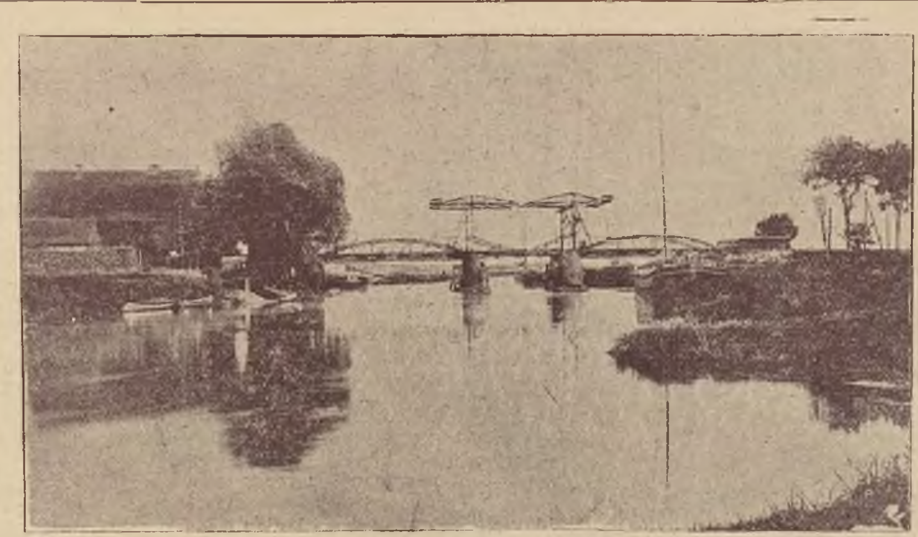


Zatrzymanie zdrajcy: Metropolita ruski Andrzej Szeptycki



Praca oświatowa w armii: Frekwentanci 5-go Kursu nauczycielskiego.





Z wycieczki dziennikarzy na Kresy zachodnie:
Rynek i kościół w Czarnkowie z grobem jednego z Czarnkowskich założycieli miasta. Stary most nadnotecki (już nie istnieje) w Czarnkowie.

maj. Engla w ciągu trzech dni utrzymywały ostatnią ofenzywę nieprzyjacielską na stacyi Stołbce, Jego to duchem owiany pluton żandarmeryi por. Smoczyńskiego opromienił się sławą i odznaczył podczas obrony Płocka.

Na zakończenie, jeden z ostatnich epizodów z życia ś. p. pułkownika Krzaczyńskiego: 15 sierpnia 1920 r. wyjechał pułkownik na inspekcyę plutonu żandarmeryi przy grupie gen. Żeligowskiego. Gdy zbliżał się samochodem do pozycyi, właśnie wileński pułk strzelców ruszał do ataku na Radzymin. Zagrała w ś. p. pułkowniku krew bojowa, wyskoczył z samochodu, chwycił karabin, ruszył przed pierwszymi szeregami piechoty, wraz z nimi wkroczył do miasta i stanął aż na placu w śródmieściu. Natychmiast zorganizował akcyę w celu zlokalizowania pożarów, gdy nadjechał gen. Haller wraz z gen. Weygandem. Wtedy pułkownik melduje generałowi Hallerowi o sytuacyi na danym odcinku, a generał Mu dziękuje i wyraża radość, iż spotyka żandarma w pierwszych szeregach bojowych.

Pochód djamentów.

Cała Antwerpia żyje pod znakiem uroczystości, zorganizowanych z rzadkim przepychem przez miejscowych przemysłowców diamenciarskich. Tysiące cudzoziemców, głównie Amerykanów, Anglików i Holendrów, przybyło do tego miasta portowego, aby obejrzeć jedyny w swoim rodzaju pochód, będący jakby ruchomą wystawą drogocennych kamieni, a zarazem przeglądem rozwoju przemysłu diamenciarskiego. Wszakżeż Antwerpia jest może najważniejszym centrem szlifierstwa diamentów, posiadając 160 warsztatów szlifierskich, które zatrudniają około 10 tysięcy robotników specyalistów, 4.000 kupców i przemysłowców w diamentach, zgrupowanych w „Diamant-Club“ i „Union Diamantarre de Belgique“. dokonywa tutaj zawrotnych obrotów i transakcyi.

Obecny obchód miał więc na celu ujawnić na zewnątrz kwitnący stan tego przemysłu, wykazać, że Antwerpia zaćmiła dwa inne ośrodki handlu diamenciarskiego: Amsterdam i Nowy Jork. Diamenciarze chcieli też zamanifestować publicznie swoją sympatyę dla Antwerpii. Należy bowiem podkreślić, że antwerpski świat diamenciarski składa się w 60 proc. z cudzoziemców, przeważnie żydów z Małopolski.

To wpłynęło zapewne, że wóz polski w pochodzie diamentów znalazł się na pierwszym planie, zaraz po Belgii i Francyi, a przed tryumfalnemi wozami, symbolizującemi długi szereg innych krajów, zainteresowanych w przemyśle i handlu djamenciarskim.

Polską część pochodu poprzedzał oddział husaryi skrzydlatej, której zbroje błyszczały w pięknem słońcu sierpniowem. Następowały potem większe i mniejsze grupy panów, mieszczan i ludu, przeważnie w stylowych kostyumach. Barwne grupy ludowe i okazałe kontuszowców, wywołały szmer podziwu wśród tłumów publiczności. Kiedy ukazał się wielki, pozłocisty wóz renesansowy, przedstawiający hołd Janowi Sobieskiemu po zwycięstwie wiedeńskiem, a widny zdala w blasku swych srebrnych i brylantowych orłów — rozlegają się dokoła oklaski i gorące okrzyki „Vive la Pologne“. Sztandar polski pochyla się przed lożą królewską, zaimprowizowaną na balkonie tutejszego pałacu. Król, królowa, następca i ks. Marie José ostentacyjnie oklaskują imponującą i nader artystycznie zestawioną grupę polską, w której występuje przeszło 200 osób.

Przesuwają się kolejno wozy o wysokiej wartości artystycznej: oto np. wóz Konga z murzynami przedstawia kopalnię diamentów, drugi zaś,



Zatrzymanie zdrajcy: Katedra św. Jura we Lwowie, do której chciał wrócić metropolita Szeptycki.

GUY DE TÈRAMOND.

KLEJNOTY RADŻY

Ale nie była to chwila do zastanawiania się, przedewszystkiem trzeba było być wolnym. Miał wyjść drogą, za swymi zbawcami, ale zawahał się; mogła czekać na niego inna zasadzka.

Więc pobiegł do okna, otworzył je i jednym skokiem znalazł się w pustej ulicy i zniknął w cieniu nocy.

Nazajutrz rano, pierwszym pociągiem powrócił do En.

— Mam dosyć tego zajęcia detektywa! — mówił do siebie, drżąc jeszcze na wspomnienie wydarzenia wczorajszego. Jest to zawód niebezpieczniejszy, niż sądziłem. O już mię nie złapią, abym prowadził śledztwo u ludzi, którzy zamykają w kasie! Niech baron Plücke sam się tem zajmie.

A czytając w kilka godzin później opis włamania się do kasy, pojął, jakim sposobem został ocalony.

Od trzech dni był już w En, powoli przychodząc do siebie po tych okropnych przejściach, gdy rano na zakręcie ulicy spotkał się z komisarzem policyi, który na jego widok wykrzyknął ze zdziwienia:

— To pan żyje!

— Jakto żyję? przecież pan widzi, że nie umarłem.

— Tak zapewne... odpowiedział drugi... ale urzędowo nie zgadza się... List, który dostałem z Paryża, brzmi, że mam ostrożnie zawiadomić panią Delorme o samobójstwie syna.

— O moim samobójstwie?

I w kilku słowach komisarz policyi opowiedział młodemu człowiekowi o znalezieniu rzeczy na wybrzeżu Jawol.

— Oto jaki sposób wynalazł hrabia wraz z swym wspólnikiem, aby upozorować moje zniknięcie, a głośno powiedział: Co się teraz zrobi?

— W podobnym wypadku zapisują pański zgon w aktach stanu cywilnego... a potem trzeba sądownie dowieść, że tak nie jest... to dużo panu kłopotu sprawi... Ale dam panu radę, aby zaraz pan pojechał do Paryża i zobaczył się z naczelnikiem bezpieczeństwa... i wyjaśnił, co się stało... może jeszcze będzie na czas.

— Dobrze, oświadczył energicznie Lucyan Delorme, jutro pojadę... a przy sposobności opowiem mu rzeczy, które go zainteresują... Nędznicy, myśleli w ten sposób ze mną skończyć. Pan komisarz przypomniał mi mój obowiązek... Zdemaskuję tych łotrów i oddam ich w ręce sprawiedliwości... Chwilowo czułem się przygnębionym, ale teraz odzyskałem odwagę... wiem jak się pomścić.

Pożegnał się z komisarzem, który nie rozumiał jego słów, wrócił do domu przygotować walizkę. Matka z wielkim niepokojem przyjęła wiadomość o jego wyjeździe, obawiając się, czy nagle mu się nie pogorszyło, bo dopiero wczoraj zapewniał ją, że nie opuści już En.

ROZDZIAŁ III.

Kiedy miłość nami włada...

Pociąg, mający zawieść Lucyana Delorme do Paryża, już na znak naczelnika stacyi miał ruszyć, gdy drzwi przedziału, w którym się znajdował otwarły się i wsiadła doń kobieta.

Była w szarym podróżnym płaszczu, twarz osłaniał welon, który spadał z kapelusza, a w ręku trzymała małą skórzaną walizkę.

Wyjęła książkę, walizkę umieściła w siatce, zdjęła płaszcz, bo było ciepło i podniosła z twarzy welon.

Mimo, że Lucyan Delorme zdawał się zajętym czytaniem dziennika, obserwował ją szczegółowo i przyznawał, że jest czarującą.

Była szczupłą a w kostyumie wyglądała elegancko, ruchy miała zgrabne. Zauważył piękność jej rysów, duże błyszczące oczy, złociste włosy, delikatność ręki gdyż zdjęła rękawiczki, aby łatwiej przewracać kartki książki, którą czytała, maleńką nóżkę, wychylającą się z pod krótkiej spodniczki.

— Kto ona jest? — pytał siebie... pewno nie aktorka? także nie panienka z towarzystwa, gdyż nie podróżowałaby sama... młoda mężatka? nie widzę obrączki ślubnej na palcu.. Daktylografka?... Znajdują się takie sympatyczne... dziś jest to zajęcie tak rozpowszechnione... Zapewne wraca z kilkudniowego wypoczynku od rodziców lub przyjaciół, aby powrócić do pracy... gdybym śmiał... zacząłbym z nią rozmowę... przyjemnie spędziłbym te trzy godziny jazdy... ale jak zabrać się do tego? nie zdaje się być przystępną.

Julietta również nie spuszczała go z oka.. Domyślała się jego zamiarów, nie wątpiła bowiem o wrażeniu, jakie zrobiła na młodym człowieku.

Przyjechała do En podług rady hrabiego i starała spotkać się z nim. Zaraz na drugi dzień zobaczyła go rano, jak skierował się na dworzec i nadawał swą walizkę do Paryża.

Nie wahała się — chciała skorzystać ze sposobności, aby zawrzeć z nim znajomość. Znakomicie obmyśliła swój plan, ponieważ w chwili, gdy pociąg miał ruszyć, udało się jej wskoczyć do jego przedziału i w ten sposób odbywała podróż z nim tylko.

I kiedy on rozmyślał, w jaki sposób zawiązać z nią rozmowę, ona wzajemnie zastanowiała się jak mu ją ułatwić. Przypadek posłużył im do tego, bo gdy wagon przejeżdżał miejsce, w którym się łączą szyny, tak został silnie wstrząśniętym, że okno opadło od strony, gdzie siedziała młoda dziewczyna, a wiatr porywał jej welon.

Zanim zrobiła ruch, aby je zamknąć, Lucyan Delorme już skoczył.

— Czy pani pozwoli? I zasunął okno.

— Dziękuję, odezwała się.

Młody człowiek nie zajął już miejsca, lecz usiadł naprzeciw niej.

— Jak pani może czytać, przy podobnem trzęsieniu? wykrzyknął, jedziemy z chyżością przynajmniej 60 kilometrów na godzinę... litery muszą skakać przed oczyma.

— Rzeczywiście, westchnęła... ale przecież trzeba się czemś zająć... bez tego droga wydałaby się zanadto długą...

Przymknęła książkę i obserwowała zmieniający się krajobraz na horyzoncie, ale Lucyan Delorme zaczął znowu:

— Czy pani była w En?

— Nie, wracam z Oniwal, gdzie spędziłam dwa tygodnie u ciotki, która mię do siebie zaprosiła, ale niestety... zaledwie trochę się rozbawiłam, już trzeba było pomyśleć o wyjeździe do Paryża...

— Aby prowadzić znów nędzne życie.

— O bynajmniej nie nędzne, zaprzeczyła wesoło... Moja egzystencya nie jest tak ciężką.

— Czem pani się zajmuje?

— Niczem... Nie mówię w dosłownem znaczeniu, że niczem, poprawiła się natychmiast, bo prowadzę gospodarstwo mojemu ojcu!... bardzo małe gospodarstwo — jest nas tylko dwoje... jednak nie przeszkadza, że zabiera mi dużo czasu.

— Czy nie jestem zbyt niedyskretnym, pytając się pani, czem trudni się jej ojciec?

— Jest kasyerem w banku..

— Czy nie dostaje urlopu, że wysyła panią tak samą do ciotki?

Rzuciła książkę na ławkę obok siebie.

Ależ nie! odparła śmiejąc się — tylko, że mój ojciec jest dziwak, nie chce opuszczać Paryża. Utrzymuje, że gdyby to zrobił, umarłby. Kiedy ma czas, nie porzucam go... Przechadzamy się po całych dniach, a tyle jest tak ładnych i nieznanych zakątków w Paryżu. Zapewniam pana, że bawimy się bardzo dobrze, ale czy pan nie jest Paryżaninem?

— Nie, mieszkam stale w En z matką.

— I zapewne dla przyjemności jedzie pan do Paryża?

— Zawahał się chwilę.

— Wcale nie, odparł, mam ważną rzecz do załatwienia i możliwe, że zaraz powrócę do En... przynajmniej mam taki zamiar... nigdy nie wiadomo co przyszłość przyniesie... gdybym opowiedział pani, co się niedawno wydarzyło...

— Co? zapytała z ciekawością.

— Nie, to nie interesowałoby panią, odparł tonem smutnym.

Nalegała, ale bezskutecznie.

Nagle pociąg zatrzymał się.

Młoda dziewczyna wychyliła się oknem, aby zobaczyć nazwę stacyi, wówczas jej towarzysz podniósł delikatnie okładkę romansu, który leżał na ławce i wyczytał dwa słowa nakreślone ołówkiem:

Małgorzata Mennier.

— Wiem, jak się nazywa, wyszeptał z radością.

— Żeby tylko nikt nie wszedł do przedziału, myślała tymczasem Julietta.

Ale nikt nie wszedł i w dwie minuty później pociąg ruszył.

Powoli Lucyan Delorme uległ czarowi młodej dziewczyny. Nigdy dotąd nie doświadczał podobnego wzruszenia, serce biło mu gwałtownie.

— Ona jest zachwycająca, wyszeptał, byłbym najszczęśliwszym z ludzi, gdyby wzajemnie odczuwała to, co ja dla niej.. Do dyabła z lekarzami, policyą, mordercami pani Tankery, z kasą hrabiego d'Abazoli Viscoza. Wolę o niej myśleć... uwielbiam ją...

Zaczęli znów rozmowę, która musiała być bardzo przyjemną tak jednemu, jak i drugiej, bo żadne z nich nie zauważyło, z jaką szybkością upływał czas.

Nagle młody człowiek, spoglądając ku oknu zauważył, że przejeżdżali fortyfikacye.

— Już! zawołał ze zdziwieniem, a zwracając się do towarzyszki rzekł:

— Pani, za chwilę wysiądziemy.. rostaniemy się... ale nie chciałbym, aby na zawsze... Czy pozwoli pani, że poproszę ją o coś... czy nie mógłbym mieć przyjemności, aby z nią widzieć się znowu?

— Ależ panie, czy to wypada? — zapytała.

— Proszę mi wierzyć, że z całym szacunkiem stawiam to pytanie... Nie mam odwagi jeszcze prosić, aby pani przedstawiła mię swemu ojcu, uważałbym może za dziwne to spotkanie w wagonie... tymczasem pani będzie tak uprzejmą i okaże mi swą życzliwość ułatwiając...

Namyślała się chwilę.

— To niebezpieczne!... nie zależę od siebie... gdybym była nieobecną trochę dłużej, sąsiedzi zauważyliby i mój ojciec dowiedziałby się o tem niedługo... co odpowiedziałabym mu, gdyby mię pytał?...

— Kilka minut tylko, błagał młody człowiek... tyle, aby zasięgnąć o niej wiadomości.

— Dobrze! niech będzie, zgodziła się w końcu... Gdy wyjdę po zakupy... możemy rozmawiać minutę, ale nie dłużej. Przyrzeka mi to pan?

— Przyrzekam... ta minuta będzie dla mnie rajem.

— A więc za tydzień, to jest w przyszłą sobotę... o piątej będę na tarasie w ogrodzie Tuilleries?

— Przyjdę tam.. dziękuję z całego serca... z upragnieniem będę oczekiwał tej chwili...

Pociąg zwolnił biegu wjeżdżając na dworzec, stanął...

Lucyan Delorme pomógł młodej dziewczynie przy wysiadaniu z wagonu i uścisnął podaną mu rękę.

— Dowidzenia panno Małgorzato!

— Dowidzenia panie Lucyanie!

Tak naturalnem uznali nazwać się w ten sposób, że ani na chwilę nie zastanowili się, że znają swe imiona, nie pytając się o nie.

Julietta wsiadła do automobilu, a pewną będąc, że jej towarzysz nie będzie ją śledził, dała rozkaz szoferowi:

Dworzec zachodni...

Zdaleka ręką dawała mu przyjazne oznaki a do siebie wyszeptała:

— Dobrze pracowałam.. Napewno go rozkochałam. Teraz spokojnie wrócę do Cabourg i przez tydzień zaznam zasłużonego wypoczynku.

Młody człowiek śledził oddalający się wóz, a gdy zniknął na zakręcie, wyszeptał:

— Jakie to dziwne!... wczoraj jeszcze czułem się chorym, smutnym i zniechęconym... dziś zdaje mi się, że mi skrzydła wyrosły... mam ochotę do życia!... Teraz czuję się zdolnym do walki przeciw złemu losowi, który od pewnego czasu mię prześladuje... na złość lekarzom czuję, że wyzdrowieję... to dalekie szczęście najlepszym lekarstwem... Za tydzień ją zobaczę... tydzień szybko minie... zresztą mam się czem zająć... w pierwszej chwili wahałem się... ale teraz muszę tych złoczyńców wydać sprawiedliwości.. będzie to bezlitosna walka... Dziś po południu pójdę do naczelnika bezpieczeństwa. — Postąpił parę kroków i znów rozmyślał. — Te 200 tysięcy franków będę miał, będą posagiem Małgorzaty, jeśli zechce zostać moją żoną.

Tak, jak postanowił, po obiedzie Lucyan Delorme udał się na wybrzeże O férres.

Pan Clamart nie mógł powstrzymać się, aby nie okazać zdziwienia, gdy woźny zaanonsował jego wizytę.

— Dziwny zbieg! wyszeptał do siebie, przypominając sobie utopionego na wybrzeżu Javel, co do którego przed paru dniami wydał zarządzenie.

Młody człowiek wszedł do gabinetu, usiadł naprzeciw niego i zaczął:

— Przychodzę panie naczelniku z polecenia komisarza policyi z miasta En. Pan polecił mu, aby zawiadomił moją rodzinę, że rzuciłem się do Sekwanny.

— W podobnych wypadkach, działamy zawsze w ten sposób. Zresztą, dodał przerzucając stos papierów, leżących obok niego, raport brzmiał: „kapelusz szary, miękki, z firmą kapelusznika w En. Palto brązowe... guziki okryte sukner, w palcie rękawiczki żółte ze znakiem wielkości $7^3/_4$, cena 2 fr. 95 cent.

— Istotnie te przedmioty należą do mnie, wykrzyknął młody człowiek, właśnie przychodzę panu naczelnikowi udzielić poważnych wiadomości.

— Proszę mówić.

— To palto i ten kapelusz zostały zostawione przezemnie u hrabiego d'Abazoli-Viscoza ulica Vézelay 4.

— U hrabiego d'Abazoli-Viscoza?...

— Który je złożył na wybrzeżu Javel, aby wyjaśnić moje zniknięcie i przeszkodzić szukaniu mnie. — Panie naczelniku, zaczął z mocą, ten nędznik z pomocą swego służącego Hindusa, zamknął mię w kasie, ābym umarł z głodu.

— W jego kasie?

— Aby pozbyć się człowieka, zanadto dobrze widzącego, który odkrył jego zbrodnie.

— Ale przepraszam, przerwał pan Clamart zdziwiony tem, co słyszał, znam hrabiego d'Abazoli-Viscoza i dotąd nic uchybiającego...

— Panie naczelniku, przerwał młody człowiek, to indywiduum jest nie tylko mordercą, ale i oszustem... klejnoty maharadży istniały tylko w jego wyobraźni... powiem panu jeszcze, że jest mordercą pani Tankery i barona Plücke Strohe

— Ale panie, wykrzyknął pan Clamart, coraz bardziej zdziwiony, jakiego dowodu dostarczy mi pan na podobne oskarżenie.

— Dowodu?... proszę tylko posłuchać mię trochę.. dowodem jego zbrodni jest: w czaszce jego tkwi kula, dowód taki sam istnieje u jego służącego, bo ma kulę w udzie i że ich pierwsza ofiara...

Ale pan Clamart nie dozwolił dokończyć:

— Ach tak, wykrzyknął nagle, patrząc na niego, pan jesteś tym człowiekiem, którego przesłuchiwałem na ulicy Mozara?... Przypominam sobie pańskie nazwisko... Lucyan Delorme... oto dlaczego nie jest mi obce.. ja pana nawet aresztowałem?

— Tak.

— A pan został zmuszony do przyznania się przed sędzią śledczym, że żartowałeś z policyi, dając jej śmieszne wskazówki.

— Powiedziałem prawdę, panie naczelniku, to nie moja wina, jeżeli...

— Panie, nie mam czasu na słuchanie urojonych opowieści. Zamknięty w kasie, dorzucił wzruszając ramionami, hrabia d'Abazoli-Viscoza pana zamknął w kasie, zamiast klejnotów, które nie istniały.

— Tak, potwierdził jeszcze młody człowiek.

Ale naczelnik nie słuchał go już

— Powinienembym pana oskarżyć o obrazę urzędu, że porzuciłeś ubranie nad Sekwanną, aby udać samobójstwo, lecz lituję się nad nim, zdaje mi się, że pan nie jest całkiem przy zdrowych zmysłach...

Przycisnął palcem guzik od dzwonka.

Agent ukazał się we drzwiach gabinetu..

— Wyprowadź tego pana.

A zwracając się do Lucyana Delorme, który mu się przyglądał z oczami wytrzeszczonemi, nie mając odwagi ust otworzyć.

— Mój przyjacielu prawda, że już nigdy pana nie zobaczę? z jego nudnemi historyami, w przeciwnym razie nałożę mu kajdanki.

Znalazł się na ulicy cały zmieszany, szeptając:

— Hrabia jest silnym, ale wzruszając ramionami, dodał:

— Tem gorzej!.. jeżeli naczelnik bezpieczeństwa w ten sposób tę rzecz traktuje, niema co więcej się wtrącać. Jak policya załatwi ją, kiedy nie chce uznać hrabiego d'Abazoli-Viscoza za mordercę i oszusta... to jej sprawa. Co do mnie mam tego dosyć... raz prowadzą mnie do więzienia... drugi zamykają w kasie, z której tylko cudem wychodzę.. trzeci grożą mi kajdanami!... Do dyabła z dwustu tysiącami franków!... Pieniądze nie dają szczęścia. Małgorzata będzie mię kochała bez nich...

I pełen wspomnień o swej blondynce, towarzyszce podróży, postanowił nie wracać do En, ale czekać z niecierpliwością zakochanego spotkania, wyznaczonego przez nią na najbliższą sobotę.

— Ale gdzie będę mieszkał?

Nie mógł myśleć o pałacu na Champs-Elysées ani pensyonacie pani Armelin. Przypomniał sobie, że jeden z jego kolegów, który odbywał studya prawnicze w Paryżu mówił mu, o małym spokojnym i skromnym hotelu, położonym na Batignolles.

Tam postanowił się umieścić.

Zawołał fiakra

— Proszę mię zawieść na ulicę Apeninnes przed hotel Nowe Hebrydy.

ROZDZIAŁ IV.

Wieczór u Pawłownej.

Nadszedł wrzesień. Lato było dżdżyste i zimne. Tłumnie wracano z kąpiel na leże zimowe. Jedni spieszyli, aby otworzyć polowania w swych posiadłościach, drudzy poprostu wracali do Paryża, gdzie ruch ożywiał się z otwarciem teatrów, a bulwary, po dwumiesięcznej przerwie zaludniały się.

Hrabia d'Abazoli-Viscoza był jednym z pierwszych, który opuścił Cabourg i zajął swe apartamenta na ulicy Vézelay, odmawiając na wszytkie zaproszenia, których mu co roku nie brakowało, aby przepędził jesień w jakim zakątku Francyi obfitującej w zwierzynę, i zamieszkał przytem wspaniały zamek.

Zresztą i dla niego sezon był miernym, zaledwie wystarczało mu na utrzymanie.

Wskutek deszczu padającego ustawicznie przebywano u siebie, nikt nie miał ochoty udawania się nawet do sąsiedniej willi, dla spędzenia wieczoru na grze w karty.

Napróżno Nam przypominał swemu panu, ażeby na zimę postarał się o jakie pieniądze, hrabia wydawał się obojętnym na wszystkie te sprawy.

Ze swego odrętwienia budził się tylko, aby słuchać opowiadań Julietty wracającej z Paryża, gdzie widywała się z Lucyanem Delorme, coraz bardziej w niej zakochanym.

— Ach! zapłacę mu z ochotą za mój zawód — mówił odgrażając się.

I oczekiwał tej godziny z nerwową niecierpliwością. Na nieszczęście, aż dotąd, młoda dziewczyna nie mogła się niczego dowiedzieć.

Oprócz słów pełnych czułości, któremi ją obsypywał bez liku, zdawał się mieć usta zamknięte.

Napróżno próbowała wydobyć szczegół z jego życia, gdy ją poznał, prędko zmieniał temat rozmowy, jakby przedmiot, który chciała zbadać, był dla niego szczególnie przykrym.

— Wiesz Lucyanie — wykrzyknęła, że kiedy dojdzie do tego, iż uwierzę, że zostałeś wplątany w zbrodnię.

— Możliwe, moja kochana Małgorzato, odpowiedział wzruszając ramionami, ale nie w tym rodzaju, jak mniemasz.

I jak gdyby zadużo powiedział, natychmiast umilkł, odtąd trudno jej było więcej się dowiedzieć.

— Musi jednak przemówić! zawołał z wściekłością hrabia.

— A! wykrzyknął Nam ironicznie, gdyby mnie było się słuchało, już od dłuższego czasu uwolnieni bylibyśmy od tego człowieka, który sześć stóp pod ziemią rozmyślałby o nieprzyjemnościach mieszania się do cudzych spraw.

— Nie złość się, odpowiedziała Julietta, jeżeli dobrocią nic nie zrobimy, użyjemy przemocy..

— Od tego trzeba było zacząć! odparł Hindus... mieszkamy w Paryżu, ty możesz częściej widywać swego kochanka i dojść do celu.

W tym czasie pewnego poranku hrabia otrzymał pocztą zaproszenie od Pawłownej, sławnej śpiewaczki rosyjskiej, aby przepędzić u niej wieczór.

Posągowo piękna, obdarzona cudownym głosem Missia Pawłowna była sławną w Rosyi, Austryi, Niemczech; oklaskiwana, wielbiona, przyjmowana nawet na dworach tych trzech krajów. Do tej sławy, brakowało tylko opinii Paryża, a potem pragnęła odbyć zyskowno tnrné po Ameryce.

Za kilka dni miała debiutować w Operze, w sztukach Wagnera, które były jej tryumfem a osiedliwszy się na zimę w Paryżu, zebrała kilku przyjaciół i dziennikarzy, sam kwiat towarzystwa.

W czasie jednej podróży do Wiednia, zeszłego roku, został jej przedstawiony hrabia d'Abazoli-Viscoza. Łatwo nie zapominająca się reprezentanta maharadży, pamiętała go zaprosić.

Śpiewaczka postanowiła nie wydawać dużo pieniędzy na mieszkanie, nie wiedziała bowiem, jak długim będzie jej pobyt.

Wynajęła parter umeblowany w dzielnicy Monceau, na ulicy Jadin, która kilka lat temu jeszcze była pełną domków i ogrodów, zamieszkiwana licznie przez artystów, lecz mimo, że stopniowo na niej ukazują się domy pięciopiętrowe, nie zatraciła swego spokojnego wyglądu, gdyż mało jest uczęszczaną.

Mieszkanie Pawłownej nie było wielkie, na ulicę wychodziły tylko cztery okna od salonu i jadalni. Aktorka pragnęła, aby było gustowne i wygodne. Swą zręczną i artystyczną ręką nadawała mu wygląd elegancki, czego mu właśnie brakowało. W salonie zawiesiła parę swoich wspaniałych portretów, malowanych przez najsławniejszych malarzy. Kwiaty wszędzie rozmieszczone, zdobiły skromnie umeblowane pokoje, a któremi czarująca gospodyni domu zastąpiła starożytne figurki i cenne graciki.

Na ten wieczór, nie było wiele gości zaproszonych. Spodziewała się z pięćdziesiąt osób a przybyła zaledwie połowa, bo życie Paryża posiada tysiączne rozrywki. Śmietenka towarzyska, używając banalnego wyrażenia, zastąpiła ilość. Oprócz hrabiego d'Abazoli Viscoza był Foggarol, wpływowy krytyk muzyczny, baronowa Vallgére, przyjaciółka Pawłownej, Róża Planchet, artystka z opery, attaché węgierski, kapitan Zehklacht, markiz de la Torre, prezydent klubu modnego, arbiter snobizmu paryskiego i kilku jeszcze innych klubowców oraz pare dam ze świata, a wkońcu Lady Dufferton, czarująca kobieta, należąca do najwyższego towarzystwa angielskiego, która korzystając z krótkiego przejazdu przez Paryż, nie chciała opuścić wieczoru u sławnej śpiewaczki.

Słyszeć śpiewającą Pawłownę, była to rozkosz, głos jej był zawsze cudowny, godny powszechnego zachwytu.

Wśród ogólnego entuzyazmu, następował kawałek po kawałku, aż widocznie zmęczona prosiła o przerwę:

— Moi przyjaciele, powiedziała, jestem silnie wzruszoną waszym zapałem, ale błagam dajcie mi trochę odpocząć. Zanim podadzą kolacyę, przyniosą stoliki, ci którzy lubią bridge'a, zasiędą do niego, drudzy porozmawiają tymczasem... Mój kochany hrabio, dodała zwracając się do reprezentanta maharadży, czy nie zechciałby pan pomódz mi przy urządzaniu gry?

Ten skłonił się i zabrał się natychmiast do dzieła. W owym czasie bridge był jeszcze w modzie, tak, że w jednej chwili stoliki zostały zajęte.

Hrabia nie zasiadł, wymawiając się zupełną nieznajomością tej gry.

— Posługiwać się kartami, które nie wyszły z rąk Nama?.. mruczał do siebie... Lubię, aby szczęście sprzyjało mi napewno... A potem grywam częściej z konieczności, niż dla przyjemności.

I podszedł do małej grupy w rogu salonu otaczającej panią domu. Ta ostatnia widząc go zbliżającego się powiedziała do Lady Dufferton, siedzącej obok niej:

— Kochana pani zna zapewne hrabiego d'Abazoli Viscozę, reprezentanta bogatego maharadży de Pandkukurah we Francyi.

Spotkaliśmy się już nie raz, odpowiedziała, podając rękę do ucałowania hrabiemu, który skłonił się przed nią.

I uprzejmym głosem, któremu jej akcent angielski tak czaru dodawał, dorzuciła:

— Z wielką przykrością dowiedziałam się o nadzwyczajnej kradzieży, której ofiarą padł pan i zapewniam go o mym współczuciu w tych przykrych okolicznościach, ale proszę mi powiedzieć, czy wszystkie klejnoty zostały skradzione.

— Wszystkie.

— Prawda, że były wielkiej wartości, zapytała Róża Planchet.

— Pięćdziesięciu milionów.

(Ciąg dalszy nastąpi).

A. CONAN DOYLE.

LORD FALCONBRIDGE

Tłum. z angielskiego L. B.

4)

Wszystkie obawy, jakie mógł żywić Tom Spring, że będzie miał nad nim jakąś nieuczciwą przewagę, umilkły wskutek jego, pewnego siebie zachowania i wspaniałej budowy fizycznej, która ujawniła się jeszcze lepiej, gdy zdjął czarną, aksamitną krawatkę z wielkim, błyszczącym rubinem w środku i odrzucił biały kołnierz, który mu ściskał grubą, muskularną szyję. Potem bardzo ostrożnie wyjął parę złotych spinek od mankietów i, podwijając rękawy od koszuli, odsłonił dwa włochate, muskularne ramiona, które mogły były służyć za model dla rzeźbiarza.

– Chodź bliżej do płotu – rzekł skończywszy. – Tam mamy więcej miejsca.

Bokser w przygotowaniach dotrzymał kroku strasznemu przeciwnikowi. Jego kapelusz, surdut i kamizelka wisiały na krzaku. Zbliżył się na otwartą przestrzeń, którą mu tamten wskazał.

– Bicie czy walka? – spytał chłodno amator.

– Walka!

– Wyśmienicie. – odparł tamten. – Wystaw ręce, Spring. – Spróbujmy.

Stali twarzą w twarz naprzeciw siebie na porosłej trawą polanie, przeciętej ścieżką u skraju lasu. Zuchwały i dumny wyraz nikł z twarzy amatora, ale ponury półuśmiech błąkał się na jego wargach i oczy jego świeciły dziko z pod gęstych brwi. Ze sposobu, w jaki stał było najzupełniej jasne, że był mistrzem w tej walce. Spring, chodząc swobodnie tu i tam w poszukiwaniu za otwartem miejscem, uświadomił sobie naraz, że nie stał nigdy wobec wytrawniejszego przeciwnika, ani w walce ze Stringerem, ani nawet ze strasznym Painterem. Lewa ręka amatora była wysunięta daleko naprzód, druga dla osłony nisko opuszczona, ciało przechylone w biodrach i głowa zupełnie poza obrębem niebezpieczeństwa. Spring spróbował lekkiego wypadu w stronę piersi i drugiego w stronę jego twarzy, lecz w tej samej chwili przeciwnik rzucił się na niego z gradem uderzeń, jakby młota kowalskiego, których Spring tylko z największym trudem zdołał uniknąć. Odskoczył, ale nie było już ucieczki przed tą wichurą mięśni i kości. Ciężki cios odtrącił jego osłonę, drugi spadł mu na ramię i bokser runął, przywalony ciężarem przeciwnika. Obaj skoczyli na równe nogi, zmierzyli się wzrokiem i stanęli znowu w pozycyi.

Nie mogło być wątpliwości co do tego, że amator był nietylko cięższy, lecz także wytrwalszy i silniejszy. I znowu dwa razy powalił Springa, raz ciężarem uderzeń, drugi raz zwarciem się z nim wręcz i powaleniem go na łopatki. Takie upadki mogły odebrać chęć do walki gorszemu graczowi, lecz dla Springa były to wypadki codzienne. Choć potłuczony i powalony zrywał się zawsze w tej samej chwili. Krew sączyła mu się z ust, lecz niezłomne, niebieskie oczy świadczyły o nieustraszonym duchu.

Teraz przyzwyczaił się do taktyki wypadów przeciwnika i przygotował się na nie. Czwarte spotkanie odbyło się tak samo co do napadu, ale zupełnie odmiennie co do obrony. Aż dotąd młodzieniec ustępował i padał pod ciosami. Tym razem stawił czoło. Kiedy przeciwnik rzucił się na niego, przyjął go straszliwym, prostym ciosem lewą ręką, zadanym z całej siły i podwójnym co do skutku przez pęd atakującego. Zderzenie było tak ogłuszające, że sam bokser uczuł się odrzuconym wstecz poprzez trawiastą polanę. Amator zachwiał się i oparł ramieniem o drzewo, zakrywając ręką twarz.

– Najlepiejby było gdyby pan zaprzestał – przemówił Spring. – W przeciwnym wypadku dostanie pan bobu.

Tamten wyrzucił jakieś nieartykułowane przekleństwo i splunął krwią.

– Dalej – odparł.

I teraz jeszcze przekonał się bokser, że nie ma przed sobą łatwej pracy. Cięższy przeciwnik, ostrzeżony niepowodzeniem nie usiłował już odnieść zwycięstwa jednym napadem i powalić wytrawnego boksera, jak wiejskiego zapaśnika na jarmarku. Walczył równocześnie głową, nogami i rękami. Spring musiał przyznać w duszy, że ten człowiek, wytrenowany do zapasów byłby partyą dla najlepszego boksera. Jego osłona była silna, atak szybki, jak błyskawica; odbierał ciosy, jak człowiek z żelaza i kiedy tylko mógł zewrzeć się wręcz, obalał zawsze lżejszego przeciwnika na ziemię. Ale to jedno, ogłuszające uderzenie, które otrzymał od przeciwnika, zanim nauczył się dla niego szacunku, ciążyło na nim silnie przez cały czas. Jego zmysły straciły coś ze swej bystrości, a uderzenia – ze swej siły. W dodatku, walczył z człowiekiem który ze wszystkich sławnych bokserów, był najpewniejszy, najchłodniejszy i najtrudniejszy do pokonania, który, jeśli raz uzyskał przewagę, nie tracił raz uzyskaną przewagę. Powoli, stopniowo, spotkanie za spotkaniem męczył go ten chłodny szybki i ostro bijący przeciwnik. Wkońcu stanął wyczerpany, dysząc chrapliwie, z twarzą – o ile ją można było dojrzeć – purpurową z wysiłku. Doszedł do granicy ludzkiej wytrzymałości. Jego przeciwnik stał oczekując go, potłuczony wprawdzie i zbity, lecz, jak zawsze, chłodny, gotowy i niebezpieczny.

– Najlepiejby było, gdyby pan zaprzestał, mówię panu – rzekł. – Już z panem koniec.

Ale męskość tamtego nie chciała do tego dopuścić. Z rykiem wściekłości odrzucił wszelką umiejętność i zaczął jak szalony walić obydwiema rękami. Przez chwilę Spring był zgnębiony. Potem szybko odskoczył w bok; rozległ się łoskot uderzenia, amator zatrzepotał rękami i runął jak długi z wyciągniętemi nogami, z nieksztalconą twarzą do góry.

Przez chwilę Tom Spring stał spoglądając na nieprzytomnego przeciwnika. Następnie uczuł dotknięcie delikatnej, ciepłej dłoni na nagiem ramieniu. Kobieta stała obok niego.

– Teraz najlepszy czas! – zawołała z błyskiem w czarnych oczach. – Dalej! Niech go pan rozbije!

Spring strząsnął ją z siebie z okrzykiem niesmaku, ale w tej chwili wróciła.

– Dam siedmdziesiątpięć funtów...

– Walka skończona. Nie mogę go dotknąć.

– Sto funtów – całą setkę! Mam ją tu za stanikiem! Czy pan odrzuci setkę?

Odwrócił się na pięcie. Skoczyła mimo niego, usiłując kopnąć w twarz powalonego mężczyznę. Spring odciągnął ją szorstko, z nim mogła mu wyrządzić jakąś krzywdę

– Ani kroku! – zawołał, potrząsając nią - Powinna się pani wstydzić, kopać powalonego człowieka.

Potłuczony mężczyzna stękając obrócił się na drugi bok. Potem powoli usiadł i przesunął wilgotną ręką po twarzy. Wreszcie, zataczając się powstał.

– No, no! – zaczął, wzruszając szerokiemi ramionami – ładna walka. Nie mogę narzekać. Byłem ulubionym uczniem Jacksona, ale ustępuję panu pierwszeństwo. – Nagle jego wzrok padł na wściekłą twarz kobiety. - Holla! Betty - wykrzyknął. – Więc to tobie mam do zawdzięczenia? Mogłem się tego domyślać, po otrzymaniu twojego listu.

Tak, milordzie – odpowiedziała z przedrzeźniającym ukłonem. – Mnie masz do zawdzięczenia. Twoja żonka to wszystko urządziła. Leżałam za temi zaroślami i widziałam, że dostawałeś bicie jak pies. Nie dostałeś jeszcze wszystkiego, co układałam dla ciebie, ale i tak, sądzę, że upłynie jakiś czas, zanim pokocha cię która kobieta dla twojego wyglądu. Czy pamiętasz te słowa, milordzie? Czy pamiętasz te słowa?

Stał przez chwilę ogłuszony. Potem podniósł z ziemi szpicrutę i spojrzał na nią z pod gęstych brwi.

– Jesteś dyablicą – wykrzyknął.

– Ciekawam, co pomyśli guwernantka? – odpowiedziała.

Wpadł we wściekły szał i rzucił się na nią ze szpicrutą. Tom Spring z otwartemi ramionami rzucił się przed niego.

– Tak nie idzie; nie mogę pomóc.

Mężczyzna spojrzał na żonę przez ramię boksera.

– Tak, to za ukochanego Jerzego! – rzekł z gorzkim uśmiechem! – Ale biedny Jerzy ze złamanym nosem, zdaje się, poszedł w odstawkę. Zaczęłaś teraz znowu z bokserem, co? Znalazłaś człowieka w sam raz dla siebie!

– Ty kłamco! – zawołała dysząc.

– Ha, moja droga, to ukłuło twoją dumę, prawda? Dobrze, zasiądziesz na ławie oskarżonych za przestępstwo i napad. Co to będzie za obraz – mój Boże! – co za obraz!

– Nie zrobisz tego, John!

– Nie zrobię, do......! Czekasz tutaj trzy minuty i sądzisz, że nie zrobię. – Porwał ubranie z krzaka i zataczając się pobiegł przez pole ze wszystkich sił, gwiżdżąc po drodze.

– Prędko, prędko! – zawołała kobieta. – Niema ani chwili do stracenia. Zaalarmuje całą okolicę. Toby było straszne – straszne. – Drżała i dyszała ze strachu, a jej twarz stała się siną.

Pobiegła szybko krętą ścieżką, a Spring popędził za nią, ubierając się w drodze. Na polu, po prawej stronie leśniczy, ze strzelbą w ręku spieszył w kierunku gwizdania. Dwaj robotnicy, ładujący siano, przerwali pracę i oglądali się wokoło, trzymając widły w rękach. Ale ścieżka była wolna i powozik czekał na nich; koń skubał trawę na kraju drogi, a woźnica drzemał na koźle. Kobieta szybko wskoczyła i skinęła na Springa, aby się zbliżył.

– Ma pan tu swoje pięćdziesiąt funtów, – rzekła wręczając mu banknot. – Był pan głupcem, że nie zamienił ich pan na setkę, kiedy była sposobność. Teraz, skończyłam z panem.

– Ale, gdzież mam iść? – spytał bokser, rozglądając się dokoła wśród krętych dróżyn.

– Do dyabła! - odparła. – Ruszaj, Johnson!

Powozik popędził drogą i znikł za zakrętem. Tom Spring pozostał sam.

Wszędzie, w całej okolicy słyszał pokrzykiwania i gwizdy. Było jasne, że jego chlebodawczyni, dopóki sama nie była narażona na hańbę dzielenia z nim jednego losu, czuła zupełną obojętność, czy dostanie się on w opały, czy też nie. Tom Spring zaczął stawać się obojętny. Był na śmierć znużony, bolała go głowa od otrzymanych ciosów i upadków, a jego czucie było zranione obejściem, którego padł ofiarą. Przeszedł zwolna kilka metrów drogą, lecz nie miał pojęcia, dokąd się miał zwrócić, aby się dostać do Tunbridge Wells. W oddali usłyszał naszczekiwanie psów i odgadł, że poszczuto je na jego ślad. W takim razie nie mógł się spodziewać, że ucieknie przed niemi i mógł równie dobrze czekać na nie tam, gdzie się znajdował. Wyrwał ciężki kół z płotu i usiadł czekając ponuro, w bardzo niebezpiecznem usposobieniu co się z nim dalej stanie.

Ale najpierw ukazał mu się przyjaciel, a nie wróg. Z poza rogu wypadł mały wózek z szybkim, kasztanowym kucykiem u dyszla. W nim siedział czerwony gospodarz z pod „Królewskiego Dębu", trzaskając z bicza i obracając ciągle głowę, by się obejrzeć poza siebie.

– Niech pan wsiada, panie Spring, niech pan wsiada – zawołał, ściągając lejce, – Idą wszyscy, psy i ludzie! Prędko! Teraz, wio Ginger! – Nie przemówił ani słowa, dopóki z szaloną szybkością nie minęli dwóch mil wąskich dróżyn i nie dostali się bezpiecznie na gościniec brightoński. Wtedy popuścił kucykowi lejców i tłustą ręką poklepał Toma Springa po ramieniu.

– Wspaniale! – zawołał, a jego wielka, czerwona twarz promieniała w zachwyceniu. – O, mój Boże, to dopiero było śliczne!

– Co, pan widział walkę? – zawołał Spring

– Każdy szczegół! I, na św. Jerzego, pomyśleć, że danem mi było w życiu ujrzeć taką walkę wyłącznie dla siebie! Och, to było wspaniale! – wołał w szalonym zachwycie – widzieć, jak lord padał na ziemię, niby zarżnięty wół, a jaśnie pani biła brawo za krzakiem. Odgadłem, że się na coś zanosi i jechełem za panem przez całą drogę. Kiedy się pan zatrzymał, spętałem małego Gingera w lasku i popełzałem za panem przez zagajnik. Dobrze się stało, bo cała parafia była zaalarmowana.

Ale Tom Spring siedział zmieszany, patrząc na niego ze zdumieniem.

– Lord? – wyszeptał bez tchu.

– Ni mniej, ni więcej, chłopcze! Lord Falconbridge, prezes ławy sądowej, wice-gubernator hrabstwa, par Królestwa – oto twój przeciwnik.

– Mój Boże?

– Nie wiedział pan o tem? Tem lepiej, bo może nie byłby pan walił tak ostro, gdyby pan wiedział; a niech pan zważy, że w takim razie byłby pana pobił. Niema nikogo w całem hrabstwie, ktoby mógł mu się oprzeć. Bierze kłusowników i cyganów po dwóch i trzech naraz. To postrach okolicy! Ale pan mu wsolił – porządnie wsolił. Och, człowiecze, to było śliczne!

Tom Spring był zbyt olśniony tem, co słyszał, by móc uczynić coś więcej, jak tylko siedzieć cicho i dziwić się. Dopiero, kiedy wrócił do wygodnej gospody i wykąpawszy się zjadł posilny obiad, posłał po gospodarza pana Corbery'ego. Opowiedział mu cały szereg wypadków, które doprowadziły do tej nadzwyczajnej przygody i poprosił go, aby mu tę sprawę o ile możności wyjaśnił. Cordery słuchał opowiadania z wielkiem zaciekawieniem, chichocząc co chwila. Wkońcu wyszedł z pokoju i powrócił z pomiętą gazetą, którą rozprostował na kolanie.

— Oto jest „Panties Gazette", jedna z najbardziej plotkarskich szmat, jakie kiedykolwiek drukowano. Spodziewam się, że będzie tam ładny artykół, jeżeli tylko wściubi ona swój szpiegowski nos w dzisiejsze wypadki. Tak czy tak, my ani mru mru, jaśnie pani to samo i słowo daję, lord też ani mu mru, chociaż w uniesieniu rozpoczął pogoń za panem. Oto gazeta, panie Spring; przeczytam ją panu, podczas gdy pan będzie palił fajkę. Nosi datę z lipca zeszłego roku i opiewa:

„Skandal w wysokich sferach. — Jest to publiczną tajemnicą, że nieporozumienia, które, jak wiadomo, od kilku lat istniały pomiędzy lordem F...... i jego piękną żoną, doszły w ostatnich kilku dniach do szczytu. Poświęcenie się lorda sportowi, a zarazem, jak szeptano, pewne względy okazywane jednej z niższych osób w domu, już oddawna odstręczały miłość lady F...... W ostatnich czasach szukała pocieszenia i przyjaźni u pewnego pana, którego oznaczymy jako Sir Jerzego W.....n. Sir Jerzy, sławny lew salonowy, jeden z najsprytniejszych mężczyzn w Anglii, podjął się łaskawie trudu pocieszenia niepocieszonej piękności. Wynik jednakże był nadzwyczaj nieszczęśliwy zarówno dla uczuć lady, jak i dla piękności dżentelmena. Lord F......, osobiście, na czele oddziału służby dwoje przyjaciół na schadzce niedaleko domu. Wtedy to i na tem miejscu lord F......, pomimo krzyków żony zrobił użytek ze swej siły i zręczności i wymierzył nieszczęśliwemu Lotarjuszowi taką karę, któraby, wedle jego własnych słów, nie pozwoliła żadnej kobiecie kochać go na przyszłość dla jego wyglądu. Lady F...... opuściła męża i udała się do Londynu, gdzie bezwątpienia jest zajęta pielęgnowaniem uszkodzonego Apolina. Pewnie oczekuje się, że pojedynek będzie wynikiem tego wydarzenia, ale aż do chwili oddania numeru pod prasę nie doszły nas żadne szczegóły".

Gospodarz złożył gazetę:

— Obracał się pan w wysokich sferach, — panie Toma zu Spring — zauważył.

Bokser przesunął dłonią po rozbitej twarzy.

— No, panie Cordery - odparł - już tam niskie sfery w sam raz dla mnie.

KONIEC.



NAI NGAN

Włóczęga bohatera Lo-Ta.

Powieść chińska
w autoryzowanym przekładzie *S. Yera.*

I.

Za panowania cesarza Hui Tsung, przybył pewnego poranku do Wei Chu młody człowiek, celem odszukania swojego starego mistrza, który mu, gdy był jeszcze dzieckiem udzielał pożytecznej nauki w robieniu maczugą. Przedewszystkiem wstąpił do herbaciarni, ażeby pokrzepić się i równocześnie rozpytać o przyjaciela. Na zapytanie jego, skierowane do służącego. wskazał mu ów człowieka olbrzymiego wzrostu, który właśnie przestąpił próg i wszedł do wnętrza.

Był to mężczyzna, zdradzający, wojskowego na pierwszy rzut oka, ubrany w kapelusz z misternie splątanego łyka, w ciemnozieloną bluzę wojskową i żółte buty z wyprawianej skóry. Nos jego był prosty, zmarszczki, rozsiadłe w kątach jego ust, schodziły się w nieforemny czworobok, przyczem broda sztywna i nie do pomyślenia czarna, przyczyniała się jeszcze znacznie do jego wojowniczego wyrazu. Wzrost jego dosięgał prawie ośmiu stóp, a i reszta postaci nie pozostawała za nim w tyle co do do swych wymiarów.

Na tego to stalowego bohatera wskazał służący, dodając:

— Jeżeli chcesz znaleźć mistrza fechtunku Wang, uczynisz najlepiej, zwracając się z zapytaniem do tego naczelnika. Kto, jak kto, ale on niechybnie zna miejsce jego pobytu.

Shi Tsung, tak bowiem nazywał się rozpytujący przybysz poskoczył natychmiast, skłonił się grzecznie wchodzącemu i rzekł:

— Wybacz śmiałości mej. Sądzę jednakże, iż nie będzie w twem sercu niechęci do wypicia ze mną podstawki herbaty?

Naczelnik oglądnął dokładnie nagabywającego, który niewiele ustępował mu pod względem wzrostu, a takze zapewne i siły, postąpił parę kroków naprzód, uchylił dość uprzejmie głowy, poczem przysiedli razem, a Shi Tsung ciągnął dalej zaczętą szczęśliwie rozmowę:

— Twój uniżony sługa dozwala sobie na tak daleko idącą zuchwałość, ażeby zapytać cię o świetne twe miano i twój przydomek.

Na co ów odparł:

— Jestem głównodowodzącym straży tutejszego rządcy miasta, moje imię rodzinne jest Lo, a wołają mnie powszechnie Ta. Czy mogę jednak prosić cię, bracie, o podanie wzajemne twego nazwiska?

Urodziłem się w Hwa Yjn Hien i nazywam się Shi Tsun. Nie wiesz przypadkiem, czy nauczyciel fechtunku z Hai Fung, którego wołają Wang Tsun, znajduje się tu i czy zamieszkuje jeszcze to miasto?

Bracie mój, o ile nie mylę się, jesteś bohaterem, znanym pod przezwiskiem „Prążkowany smok Shi".

Shi Tsun skłonił się uprzejmie:

— Tak mnie powszechnie nazywają.

Dowódca Lo odwzajemnił z uśmiechem ukłon i przybierając groteskową minę, zauważył:

— Twarz twoja o wiele lepsze robi wrażenie, niż twe nazwisko. Cieszę się też niewymownie z przypadku, który pozwolił mi zetknąć się z tobą. Szukasz więc mistrza Wang? Czy nie jest to ten, który swego czasu miał owo rozgłośne zajście z generałem Ko?

Tak, tensam.

— W takim razie niema go tutaj. Zamieszkuje, o ile nie mylę się, Yen Ngan Fu, gdzie podążył za byłym tutejszym zawiadowcą. A więc ty jesteś, braciszku, mistrzem Shi, o którym tak częsta wieść dolatuje moich uszu. Pójdź ze mną; przypieczętujemy gdzieś naszą znajomość uczciwym napitkiem.

Poczem wyprowadził Lo Ta nowego znajomego z herbaciarni, a obróciwszy się, w odrzwiach rzucił w stronę służącego:

— Przy sposobności wszystko zapłacę.

— Do usług, naczelniku — odparł tenże.

Zaledwie uszli, rozprawiając żywo i przystając często w uprzejmych ukłonach, do stu kroków, gdy natknęli się na hałasujący tłum, z wytężeniem przypatrujący się czemuś. Lo Ta rzekł natychmiast:

— Braciszku, dobrze byłoby przyglądnąć się temu zblizka.

Przecisnęli się gwałtownie przez tłum i zobaczyli mężczyznę, który dzierżył olbrzymią maczugę w lewej ręce, gdy wokół niego, rozłożone na ubitej ziemi, spoczywały w nieprzebranej ilości flaszeczki, napełnione środkami leczniczymi, najrozmaitszego kształtu i wielkości i o różnorodnych napisach. Był to stary nauczyciel fechtunku maczugą zarazem szarlatan, nazwiskiem Li Tching, od którego pobierał pierwsze nauki Shi Tsun. Za zew wojenny jego uważano nazwę „Zabójca tygrysów". Shi pozdrowił go natychmiast:

— Nauczycielu mój, dawno już bardzo nie widziałem Cię.

— Skąd przybywasz do tego miasta — odrzekł tamten.

Lecz Lo Ta przerwał im:

— Jeżeli ten człowiek jest rzeczywiście twoim nauczycielem, niechajże podąży z nami na filiżaneczkę.

Jednakże Li Tshing sprzeciwił się stanowczo.

— Naprzód muszę sprzedać lekarstwa a później chętnie z tobą naczelniku podążę.

Lo Ta jednak oświadczył:

— Kat chyba czekać na ciebie będzie! Masz iść, chodź zaraz.

Li Tshing ciągle jeszcze wahał się.

— Nie mogę... Muszę tu jeszcze zostać. Przecież to mój chleb codzienny. Idźcie naprzód, a ja niezadługo będę wam z wszelką pewnością służył. (Dalszy ciąg nastąpi).



W trzecią rocznicę śmierci:
ś. p. pułk. Stanisław Krzaczyński.



Pochód dyamentów: Wóz radży Pannan, właściciela kopalni dyamentów w XVIII w., ciągniony przez słonia.

eksploatacyi takiejże kopalni w Kanadzie, inny gloryfikuje wynalazek nowoczesnego sposobu szlifowania L. von Berken z Brugas 1476 r.

Przed naszymi oczami przesuwa się potem wspaniały wóz empirowy z majestatyczną Jozefiną, która przegląda klejnoty koronne... lśniące się tysiącem ogni i promieni. Świtę cesarzowej stanowią generałowie i oficerowie w mundurach napoleońskich. Tam znów widać w bogatem obramowaniu Dożę weneckiego, który za chwilę rzuci pierścień w morze, na znak symbolicznych zaślubin.

W grupie amerykańskiej zadziwia nadzwyczajna ilość autentycznych czerwonoskórych.

Persya i Turcya olśniewają wschodnim przepychem. Widzimy jakiś bajkowy harem maurytański, w którym blask klejnotów przyćmiewają złociste sploty włosów rubensowskich kobiet.

Niemniej bogaty jest wóz indyjski, przedstawiający dwór Maharadży z XVIII w. Doszliśmy już do Azji... tłumna grupa Chińczyków, a potem lektyki z nader zgrabnemi Japonkami w malowniczych strojach.

Przez 1 i pół godzin mijają tak barwne obrazy, aż nadchodzi królewski wóz, symbolizujący Antwerpię. Na czole wozu stoi piękna, majestatyczna kobieta, lśniąca tysiącem brylantów. Wysokie czoło zdobi diadem brylantowych kwiatów naturalnej

wielkości, które poruszają się w wietrze, powiązane tylko platynowemi drucikami.

Bardzo dobrze się stało, że wśród tych magicznych obrazów nie brakło apoteozy Polski. Komitetowi organizacyjnemu pochodu, na którego czele stał p. van Ryswyck, należy się ze strony polskiej szczere uznanie za odtworzenie z niezwykłą wprost okazałością i rzadką historyczną ścisłością sławnej karty dziejów naszych. Taki obraz przemawia do wyobraźni tłumu, taka propaganda wzrokowa utrwala lepiej pewne pojęcia i poglądy, niż stosy drukowanej bibuły. Nie jest też bez znaczenia, że właśnie polska grupa pochodu wywołała entuzyastyczne brawa i manifestacye sympatyi dla Polski ze strony zebranych w Antwerpii tłumów.

Doroczne zawody pływackie Y. M. C.

W wzorowo urządzonej pływalni w Parku Krakowskim, w której właściciel, znany sportsmen, pan E. Weiss użyczył dla Y. M. C. gościny i wydatnej swej fachowej współpracy — odbyły się w niedzielę, dnia 19 b. m., doroczne zawody pływackie Y. M. C.

Mimo niepewnej pogody, bardzo liczna publiczność miała sposobność podziwiania tego osobliwszego turnieju wodnego, na którego program złożyły się tak ciekawe i efektowne ćwiczenia i produkcye, jak pięciobój pań i panów, zawody piłką olbrzymią, matche bokserskie na pływającej platformie, pływanie z zapaloną świecą, nurkowania, pływania w ubraniu etc.

W rozmaitych tych działach sportu pływackiego odznaczyły się chlubnie panie: Estreicherówna, Popielówna i Munkówna, z panów: Szenfeld, Sieńkowski, Newjeslin, Tomanek, Służewski, Szlezyngier, z młodzieży: Boczar, Ritterman, Tylko, Buliczek, Friedman, Keller.

Zawody miały charakter popisu w celach propagandy pływactwa wśród szerokich kół krakowskiej młodzieży, przyczem bardzo znamiennym, a pocieszającym momentem w sporcie pływackim jest coraz większe zainteresowanie się pań pływactwem.





Pochód dyamentów: Uroczystości na Rynku w Antwerpii.
Wóz maurytański z odaliskami. Wóz narodów, własność stolicy dyamentów.



Zgon wybitnego adwokata: ś. p. Dr Kazimierz Ostrowski.

To też szczere uznanie należy się zarówno kierownictwu Y. M. C., jak i niestrudzonemu kierownikowi pływalni w Parku Krakowskim, panu Eugeniuszowi Weissowi — za inicyatywę i pracę około tego szlachetnego, a tak hygienicznego sportu.

W nadchodzącą niedzielę, 2 września b. r., jak się dowiadujemy — odbędą się w Parku Krak. zawody pływackie o mistrzostwo Polski, ze współudziałem wszystkich klubów pływackich, urządzone staraniem Akademickiego Związku Sportowego w Krakowie.

Kilka słów o herbacie.

Najbardziej ropowszechnionym obok kawy napojem — jest wywar herbaty, której konsumpcya w Europie datuje się już od XVI. wieku, dziś zaś jest najpospolitszym i najbardziej upowszechnionym trunkiem wszystkich krajów i wszystkich warstw społecznych.

Nie rozwodząc się nad opisem botanicznym herbaty, przypominamy Czytelnikowi tylko ciekawsze szczegóły tego, jedynego w swoim rodzaju krzewu.

Otóż herbata, która w ojczyźnie swej dochodzi jako roślina do wysokości nawet 10 m. — zawdzięcza — rzecz dziwna — swój zapach nie istotnym swym właściwościom, lecz roślinom, celowo z nią razem uprawianym. Sprzęt herbaty (Chiny, Japonia, Brazylia, Indye i niektóre wyspy), odbywa się 3 razy do roku. W handlu przychodzi w dwóch gatunkach: zielona i czarna; kolory te zawdzięcza jednak jedynie odmiennemu sposobowi suszenia.

W krajach, gdzie rośnie i gdzie bywa przez tubylców uprawianą, istnieją t. zw. faktorye, domy, eksportujące herbatę na cały świat. Sposób jej przyrządzania i konserwacyi jest pilnie strzeżoną tajemnicą odnośnych faktoryi.



Kilka słów o herbacie: Sortowanie i suszenie herbaty w faktoryi.

Dwie powyższe ryciny dają nam dokładne wyobrażenie o fachowem „traktowaniu“ herbaty Na pierwszej widzimy sortowanie i suszenie herbaty w faktoryi, na drugiej, pakowanie i ekspedyowanie.



Doroczne zawody pływackie YMCA.: Matchebokserski na pływającej platformie (pp. Formanek i Ciszewski.



Doroczne zawody pływackie YMCA.: Gra piłką olbrzymią prowadzona przez instruktorów YMCA. (z udziałem pań).



Doroczne zawody pływackie YMCA.: Grupa zawodników w dorocznym turnieju pływackim YMCA



Kilka słów o herbacie: Ładowanie herbaty w paki.

ZAKOŃCZENIE KONKURSU PIĘKNOŚCI



Józefa Konstantin, (Lwów)

Po paromiesięcznem trwaniu, dobiega zainicyowany i prowadzony przez naszą redakcyę konkurs do końca. Zwracamy się przeto do Pań, któreby jeszcze chciały wziąć w nim udział, z uprzejmą prośbą, by fotografie swoje nadesłały w jaknajkrótszym czasie, gdyż ostateczny termin, po którym zgłoszenia nie będą bezwarunkowo uwzględniane, upływa z dniem

15 września!!



Jaśka Słomińska, (Kopaliny)

Po wyczerpaniu wszystkich do tego terminu nadesłanych fotografii nastąpi

głosowanie na

najpiękniejszą kobietę

w Polsce



Marya Jurkiewiczowa, (Kraków)

którego warunki podane zostaną w najbliższym czasie, a do którego już dzisiaj, wszystkich czytelników i sympatyków naszego Pisma zapraszamy. Po ustaleniu wyników głosowania przez

Specyalną artystyczną komisyę,



Jadwiga Ackerman, (Kraków)

nastąpi uroczyste obwołanie zwyciężczyni

Najpiękniejszą kobietą w Polsce



Halina Thomasówna, (Ciechocinek)

Konkurs najpiękniejszych kobiet w Polsce

Upoważniam Redakcyę „Nowości Illustrowanych" do zamieszczenia mojej fotografii w dziale konkursowym

(*Własnoręczny podpis*): ....

Dokładny adres: Imię i nazwisko (wyraźnie) ....

Miasto (ostatnia stacya pocztowa) ....

Ulica .... Nr. ....

Do P. T. Fotografów!

P. T. Fotografów, tak zawodowych jak amatorów, upraszamy uprzejmie o nadsyłanie nam robionych przez się zdjęć ciekawszych wypadków mogących zainteresować ogół Czytelników, celem reprodukowania ich w naszem piśmie. Do każdego zdjęcia należy dołączyć notatkę, zawierającą treściwie zebrane szczegóły, ewentualnie wskazać numer któregoś z pism codziennych, gdzie znajdowała się już odpowiednia wzmianka.

Nadają się do tego w szczególności obchody narodowe, towarzyskie, rocznice, zgony wybitnych osobistości i td., przedewszystkiem zaś zdjęcia, odnoszące się do senzacyjnych wypadków dnia, zaszłych w miejscu lub okolicy. Pospiech w nadsyłaniu fotografii (nie naklejanych na karton) jest wskazany.

Za nadesłane nam zdjęcia, o ile nadadzą się po umieszczenia w naszem piśmie, wypłacać będziemy ustalone za wzajemnem porozumieniem honoraryum, jakoteż na żądanie zamieszczać pod ryciną nazwisko lub firmę wykonawcy zdjęcia.

Przesyłki upraszamy adresować: *Redakcya „Nowości Illustrowanych", Kraków XV., ul. Kazimierza Wielkiego l. 95.*

OGŁOSZENIA.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Dr. Witold Lipiński

Klisze własnego zakładu. Druk. D. E. Friedleira